



OFIARA







OFIARA

ALEKSANDRA KACIANOWSKA-WERNIK





Redakcja: Aleksandra Tomicka-Kaiper

Korekta: Katarzyna Urbańska

Skład i łamanie: Aleksandra Kacianowska-Wernik

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Maria Kecman

Ilustracje: Cezary Wernik

Copyright © by Aleksandra Kacianowska-Wernik, 2026

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana ani rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób – elektroniczny, mechaniczny, kopiujący, nagrywający lub inny – bez pisemnej zgody autora/wydawcy.

Wydanie I

ISBN (druk): 978-83-976721-2-3

ISBN (ebook): 978-83-976721-3-0

Wydawca: Szelest słów

Druk i oprawa: Drukarnia Sowa

Instagram: a.kacianowska.wernik.autorka

Facebook: Aleksandra Kacianowska-Wernik – strona autorska

TikTok: a.kacianowskawern





Dla tych, którzy szukają własnej drogi.







I







Wysłużony, starszy od niej Ford był wyzębiony. Miejscami na szybach, tam gdzie nie wytarła ich dokładnie antyfogiem, osadzała się para i powoli, wąskimi strużkami, spływała, by zebrać się w małe kałuże na desce rozdzielczej. Iza od czasu do czasu zerkiała na nie, by sprawdzić, czy nie zaczęły ściekać niżej i kapać jej na spodnie. Już i tak dzinsy miała mokre od kawy, wyciekającej z nieszczelnego termosu. Plama nie chciała schnąć w niskiej temperaturze i przy każdej zmianie pozycji nieprzyjemnie lepiała się do skóry.

Starła się nie zwracać uwagi na zimno. Obserwowała otoczenie i wejście do kamienicy, której dotyczyło jej śledztwo. Podobno co drugi miesiąc, przy pełni księżyca, ktoś przychodził tam składać krwawe ofiary. Mieszkańcy nigdy go nie widzieli, ale zauważali efekty – nie tylko krew, ale i pozostałości jakiejś nieprzyjemnej, mrocznej energii. Pytała, czy kiedyś próbowali





się na tego kogoś zacząć, ale odpowiedzieli, że nie – byli zbyt starzy, za słabi, a noce były ciemne, zimne i kto by chciał wtedy w oknie siedzieć, zamiast spać?

Też się nad tym zastanawiała, marznąc w starym samochodzie. Sądziła, że ten ktoś pojawi się koło północy, jak to zwykle bywa w takich przypadkach, ale minęła już trzecia, a zauważyła tylko podpitych studentów i kilku meneli. Żaden z nich nie był zainteresowany kamienicą. Do świtu pozostało jednak jeszcze kilka godzin i najwyraźniej miała je spędzić w towarzystwie skraplającej się wody i zbyt mocnej, zbyt słodkiej kawy z przebiegającego termosu.

Tyle razy mówiła mu, ile łyżeczek kawy i cukru powinien wsypać. Tyle razy chciała sobie zrobić sama kawę, ale nim wychodziła z łazienki czy oznajmiała, że idzie rozpocząć obserwację, on już przygotowywał jej termos. Nie chciała się o to kłócić – i tak była coraz bardziej zmęczona niekończącymi się awanturami.

Westchnęła i poprawiła się na fotelu kierowcy. Była coraz bardziej senna i odpływała myślami w inne rejony. Traciła czujność i mogła przez to przegapić coś ważnego. Krzywiąc usta upiła łyk kawy i się rozejrzała. Blask księżyca odbijał się w zamrażniętej kałuży, a latarnia, stojąca kilkanaście metrów dalej, nadal mrugała, zalewając ulicę pomarańczowym blaskiem, to znów pograżając ją w ciemności. Gdzieś w oddali trzasnęły drzwiczki samochodu, ale nie słyszała kroków.

Otworzyła paczkę gum do żucia i zerknęła na telefon, by sprawdzić godzinę. Zbyt daleko do świtu.





Z naprzeciwka szedł mężczyzna. Wysoki, chudy, kulił się, chowając ręce w kieszeniach, a płaszcz powiewał za nim jak pelegryna. Pozazdrościła mu, bo mimo że wyraźnie marzył, najpewniej miał się zaraz schować w ciepłym mieszkaniu i pójść spać.

Drgnęła, gdy skręcił w bramę kamienicy. Szedł pewnie, jakby wracał do siebie, ale wiedziała, że w tym miejscu nie mieszkali młodzi ludzie.

Wysiadła z samochodu i po cichu ruszyła w kierunku bramy. Wbiła kod na domofonie i zobaczyła plecy mężczyzny. Stał przed kwietnikiem z podwiniętym rękawem płaszcza i nożem w drugiej ręce. Słabo widziała w blasku księżyca, tu dodatkowo ograniczonym przez ściany, otaczające podwórze z każdej strony, wydawało jej się jednak, że z odsłoniętego nadgarstka ścieka krew. Mamrotał coś pod nosem, ale nie była w stanie rozróżnić słów.

Powietrze wokół było ciężkie od mocy. Ponurej, mrocznej i tak groźnej, że niemal sięgnęła po zaklęcia ochronne. Powstrzymała się w ostatniej chwili, przestraszona, że zwróci na siebie uwagę mężczyzny. Taką energię знаła tylko z opisów w księgach, które zwykle towarzyszyły wyjątkowo paskudnym zaklęciom. Poczuła mdłości, ale nie była pewna, czy wynikały z kontaktu z mocą, czy wspomnienia z czym może się wiązać.

Zatrzymała się, by zyskać chwilę na namysł. To nie była jej liga. Nie powinna nic robić sama, ale nie miała kogo poprosić o pomoc. Zanim policja przyjmie zgłoszenie i zrozumie, że nie żartuje i że sprawa naprawdę dotyczy magicznych, miną całe wieki, facet zdąży się zmyć i bogowie wiedzą, co będzie dalej.





Nie miała wyboru, musiała spróbować go zaskoczyć.

Powoli i cicho wsunęła się w bramę, jednocześnie przywołując odrobinę mocy, by w razie czego szybko zareagować.

Przytrzymała drzwi, by nie trzasnęły. Zamiast tego, zamek kliknął. Cicho, cichuteńko, za dnia nikt nie zwróciłby na to uwagi. Ale była noc.

Wstrzymała oddech, gdy facet znieruchomiał i przestał mamrotać. Powoli, jakby z namysłem, odwrócił się w jej stronę i przez chwilę wyraźnie widziała jego twarz. Błądą, zarośniętą i jakby nieludzką, z przerażającymi ciemnymi oczami, które zdawały się nie mieć białek. Rzeczywiście nie był człowiekiem? Magia go tak zdeformowała? A może to tylko gra światła na jego twarzy i upiorny klimat dokarmiały jej zbyt bujną wyobraźnię?

Przez chwilę patrzyli na siebie, oceniając sytuację i przeciwnika. Zareagowali równocześnie.

Iza rzuciła mocą, nie starając się nawet złożyć żadnego zaklęcia. Nie miała na to czasu, chciała go tylko ogłuszyć. Nie zdołała. Facet natychmiast rzucił się biegiem na przeciwny kraniec podwórza. Poruszał się szybko, płynnie i z gracją, jakiej nie spodziewała się po kimś tak słabowitej postury. *Wampir?*, przemknęło jej przez myśl, gdy ruszyła naprzód.

Sądziła, że nie miał dokąd uciec – z podwórza było tylko jedno wyjście, to za jej plecami. On jednak nie zamierzał ograniczać się do drzwi. Ruszyła biegiem, gdy zobaczyła, jak wzmacznia pnącza na ścianie, a ich gałęzie stają się grubsze, na tyle aby utrzymać ciężar ciała. Zdążyła w ostatniej chwili. Już się wspinał,





ale chwyciła go za skraj płaszcza. Szarpnęła. Niebezpiecznie się odchylił, ale nie spadł. Spróbował się wyrwać, kopnął i trafił ją w rękę. Nie puściła. Drugą ręką sięgnęła do jego kostki i uwiąsiła się na niej całym ciężarem. Pnącze nie wytrzymało i oboje runęli na ziemię.

Przez chwilę zdezorientowana bólem, szarpiącym się mężczyzną i fragmentami spadającego pnącza, próbowała zrozumieć, co się dzieje. On pozbierał się znacznie szybciej, bo niemal natychmiast zerwał się na nogi i klnąc ruszył do bramy. Wolniej, już bez wcześniejszej gracji. Jeszcze raz chwyciła go za płaszcz i szarpnęła. Poczuła ból łamanych paznokci i ocieranych kolan, gdy przeciągnął ją po bruku, próbując się wyrwać. Coś posypało się na ziemię.

Był od niej znacznie silniejszy i znowu zdołał się wyswobodzić. Tym razem ruszył biegiem. Nim dała radę wstać, był już niemal przy bramie. Rzuciła za nim zaklęciem spowalniającym, ale nie spodziewała się rezultatu i słusznie – trafiło w zamykające się drzwi.







II







Od tego zaklęcia powinna była zacząć, teraz mogła tylko szukać wiatru w polu.

Z trudem się podniosła i popatrzyła po sobie. Zniszczone spodnie chyba bolały bardziej niż obrażenia, w końcu były jedną z dwóch par, które miała. Rozcięła też materiał kurtki i przez chwilę się zastanawiała, kiedy i w jaki sposób. Dopiero po chwili zauważyła, że pnącza mają kolce.

– No, już myślałam, że panna nam tu regularną bitwę na podwórzu urządzi.

Wyprostowała się i zobaczyła starszą kobietę, która ją zatrudniła. Anna Trawiańska, mimo późniejszej pory, miała na sobie porządne spodnie, a nie piżamę, i puchową kurtkę, która w nocy wydawała się czarna, choć Iza wiedziała, że jest oliwkowa. Puszek przy kapturze delikatnie poruszał się w nocnym wietrze i ocierał o oprawki wielkich okularów.





– Myślałam, że państwo po nocy śpią, a nie czatują na tajemniczego złoczyńcę.

Powiodła wzrokiem po oknach. Dotąd czarne, teraz gdzieś gdzieś rozświetlone były blaskiem lamp. W innych, mimo ciemności, dostrzegła majaczące postacie – mieszkańcy kamienicy najwyraźniej byli żywo zainteresowani rozwojem wydarzeń.

– Takiego rumoru narobiliście, że i martwego byście obudzili. A my martwi jeszcze nie jesteśmy, chociaż kto wie, ile to jeszcze... No, ale co panna myśli?

Spojrzała na zniszczone pnące i jeszcze raz wczuła się w moc na podwórzu. Mroczną i niepokojącą, choć mężczyzny już tu nie było. Przypomniła sobie, że coś mu się rosypało i rozejrzała się po kamieniach. W blasku nielicznych światłał mieniły się drobne przedmioty. Schyliła się po jeden z nich, czując pieczenie obtartych kolan. Guzik typu grzybek. Złoty, z płaską, emaliowaną górą. W czarnej emalii wymalowano złoty symbol, którego nie знаła, ale skojarzył jej się z kanciąstą chorągiewką. Magiczny symbol? Znak jakiegoś towarzystwa? Nie budził żadnych przeczuć, żadnych emocji. Może był zwykłą ozdobą, a może czymś ważnym, jakoś związanym z tym, co mężczyzna tutaj robił.

– Uważam, że czas zadzwonić na policję.

Skrzywiła się przy tym. Jedyłą osobą magiczną w szczecińskiej policji, na dodatek pracującą od niespełna miesiąca, była Sara Igniewska. Wiedźma była z niej tragiczna, a policjantka





pewnie nie lepsza, skoro z Wrocławia wylądowała aż w Szczecinie – funkcjonariusze z jakąkolwiek magią na ogół trafiali do największych miast w kraju.

– Hejże, hola! Jaka policja? – zawołał Henryk Trawiański, wychodząc z klatki. – Nie po to pannie płacimy niemałe pieniądze, żeby policję wzywać! Wie pani, jaka opinia o nas zacznie krążyć?

– Że konfidenci? – Iza podparła się pod boki, wyraźnie zmęczona. Najchętniej odłożyłaby całą sprawę do rana, ale nie było na to czasu, bo magia mogła się ulotnić przed przybyciem służb.

– A to raz! Dwa to, że sami pewnie mamy z tym coś wspólnego, skoro tyle czasu nam nie przeszkadzał, gad jeden!

W sumie z jakiegoś powodu przez kilka miesięcy nie przeszkadzał, pomyślała, ale nie skomentowała słów Henryka. Zamiast tego zastanowiła się chwilę, jakie argumenty mogą trafić do Trawiańskich i z którym z nich łatwiej będzie się dogadać. Anna wydawała się sensowniejszą opcją – mniej zapalczywa, słuchała, zanim podejmowała decyzje, więc Iza zwróciła się do niej:

– Też mi się ani trochę nie uśmiecha tłumaczenie przed policją, ale ten facet naprawdę robi tu coś paskudnego i to się może źle skończyć: dla was, dla mnie, bogowie wiedzą, dla kogo jeszcze. Może całego miasta. Pomyślcie, jak to będzie wyglądało, jeśli się rozniesie, że wiedzieliście, że ten facet coś tutaj kombinuje i nic nie zrobiliście. Lub że tylko zatrudniliście detektywa, zamiast wezwać policję. Albo Krąg, Krąg też można wezwać.

– Krąg? Tutaj? O tej porze? – prychnęła Anna. – No jasne, bo przecież politycy zawsze w try miga przylatują na wezwanie





zwykłych obywateli. Zwłaszcza tych w naszym wieku. Nie, moja panno, już lepiej na policję. Ale panna nas nie zostawi? Dalej będzie prowadzić śledztwo? Bo cosik mi się wydaje, że policja to sobie z tym nie poradzi.

Izie też się tak wydawało. Nie żeby uważała, że ma jakieś większe szanse, w końcu na co dzień zajmowała się śledzeniem niewiernych mężów i żon, a nie mrocznych złoczyńców, ale nie mogła odpuścić. Stawka prawdopodobnie była zbyt wysoka, a ona miała już jakiś punkt wyjścia.

– Oczywiście, że nie, ale niech policja też próbuje. A przynajmniej niech wie, żebyśmy nie mieli kłopotów.

– A jak panna będzie prowadzić śledztwo obok policji, to kłopotów nie będzie? – zapytał Trawiański. – Nie jest to jakieś wtrącanie się w sprawy policji, mataczenie czy coś?

Wzruszyła ramionami i potarła zgrabiące dłonie o dzinsy.

– Jakbyśmy mieli zwyczajną sprawę dla zwyczajnej policji, to by było. Ale nie mamy, bo magiczna to inny poziom. Nawet procedury mają inne. A że u nas magiczna policja jest, jaka jest, w sensie prawie jej nie ma, to problemów nie będzie. Może nie-magiczni nawet się o tym nie dowiedzą.

– No dobrze. Panna dzwoni – zgodził się łaskawie Trawiański.

Iza wyjęła komórkę i zadzwoniła. Dyspozytor okazał się dokładnie tak oporny na zrozumienie, że ma do czynienia z prawdziwym zgłoszeniem magicznego problemu, jak podejrzewała, ale po kilku minutach wyjaśnień i zapewnień, że na pewno, ale to na pewno nie żartuje i mówi bardzo poważnie, i zgłasza bardzo





pilny problem, zgodził się wysłać na miejsce Sarę Igniewską. Na nią też przyszło im czekać dość długo, ale nic w tym dziwnego – ścigali ją w środku nocy.

Iza w między czasie zdążyła obfotografować całe podwórze i, po chwili wahania, ukryć w kieszeni guzik. Była to kradzież dowodu, ale policja miała jeszcze dwa inne. Ciekawe, czy przy płaszczu były tylko trzy, czy część pozostała na miejscu. I czy ich liczba coś oznaczała? Czasem w magii takie drobiazgi były istotne.

Uważnie przyjrzała się też pnączu. Mężczyzna musiał rzucić zakłęcie trwale mutujące roślinę, bo nie wróciła do wcześniejszego wyglądu, gdy przerwał dopływ mocy. Gałęzie były solidne i przypominały liny, do tego pojawiły się na nich kolce – według Trawiańskich wcześniej ich nie było. Przyjrzała się mocy, która otaczała roślinę, i wyczuła w niej coś mrocznego, przypominającego magię nieznanego. Teraz jednak, gdy emocje opadły, a niebezpieczeństwo się oddaliło, wychwyciła też coś dziwnie znajomego. Zastanowiła się, czy przypadkiem nie potrafiłaby rozpoznać po mocy, z kim miała do czynienia, ale nie o to chodziło. Nie знаła nikogo, kto posługiwałby się czymś tak groźnym, choć przecież poznała trochę osób o wątpliwej reputacji.

Schowała fragment rośliny do woreczka i włożyła go do kieszeni, ale nie przypuszczała, by zdołała coś więcej z niej wyciągnąć. Może z kształtu, jeśli zapyta jakiegoś magicznego botanika, ale sama moc rozwiewała się zbyt szybko.





Miała nadzieję, że Trawiański, który bez przerwy ją obserwował, nikomu nie będzie wspominał o tym, co właśnie robiła. Nieważne, jak bardzo by się oszukiwała i jak tłumaczyłaby swoje działanie, znalazłoby się na nią parę paragrafów. Nie stanęłaby wprawdzie przed normalnym sądem, a przed lokalnym Kręgiem, ale ten też mógł wyciągnąć wobec niej dotkliwe konsekwencje. Gdyby, na przykład, straciła licencję na kilka miesięcy, to wraz z nią poszłaby w diabły płynność finansowa i musiałaby z podkulonym ogonem wrócić do domu. Albo być na utrzymaniu Matiego, co byłoby znacznie gorsze. Odsunęła na bok smętne rozważania i postanowiła odwrócić od siebie uwagę Trawiańskich.

– Nie wiem, czy mamy do czynienia z szalonym ogrodnikiem, czy kimś innym, ale na państwa miejscu pozbyłabym się tego pnącza – doradziła.

– A pewnie! – przytaknął Trawiański z takim animuszem, że aż kaptur zsunął mu się z głowy, odsłaniając rozczochraną czuprynę i wysokie zakola. Nie zwrócił na to uwagi. – Nie dość, że to najwyraźniej niebezpieczne, bo taki element, jak ten, potrafi wykorzystać gałęzie do ucieczki, a nie daj bogini do jakichś włamań, to teraz jeszcze zaczarowane. Jeszcze by się okazało, że będziemy mieli jakąś śpiącą królewnę, bo się czyjaś wnuczka zakłuje. Rano poszukam kogoś, kto się tym zajmie.

– Jeśli ten ktoś będzie miał jakieś uwagi o magii, sposobie zmutowania tego czy cokolwiek innego, to proszę dać znać. Może mi to pomóc.





– Żona zadzwoni. – Niedbale machnął ręką i już nie zwracał na nią uwagi, bo na podwórze weszła Igniewska. Na jej widok dumnie się wyprostował i wypiął pierś, przez co pokaźny brzuch jeszcze bardziej rzucał się w oczy, a materiał wzdłuż zamka czerwonej puchówki niebezpiecznie się napiął. – Pani policjant. Długo trzeba czekać na interwencję służb. I sama pani taka, bez żadnego kolegi?

Iza z trudem ugryzła się w język, ale aż zrobiło jej się gorąco, gdy usłyszała Trawiańskiego. Jeśli miała oceniać po minie Igniewskiej i sposobie, w jaki zmierzyła Henryka wzrokiem, prawdopodobnie się w tym odczuciu zgadzały.

– Sama, taka praca. Sara Igniewska, policja, wydział do spraw magii. Co tu się wydarzyło? Mam nadzieję, że nie jest to zwykły wandalizm i połamane kwiatki? – Wskazała na pnącza.

– Izabela Czartoryska, zostałam wynajęta przez państwa Trawiańskich i pozostałych mieszkańców kamienicy z powodu dziwnego zachowania pewnego mężczyzny – zaczęła Iza. – Co dwa miesiące w trakcie pełni przychodzi tutaj, aby odprawić jakiś rytuał, rzucić zaklęcie lub coś takiego, trudno powiedzieć, co dokładnie, bo właśnie to miałam ustalić. Przyszedł i dzisiaj. Niestety, kiedy weszłam na podwórze, był już w trakcie swoich działań.

Relacjonowała wydarzenia z nocy, uważnie obserwując Igniewską. Obawiała się, że policjantka nie potraktuje jej poważnie, ale chyba nie miała powodu. W miarę biegu opowieści mina Sary robiła się coraz bardziej chmurna. Słuchała uważnie, czasem zadając pytania doprecyzowujące.





– Widzieli państwo, jak ten mężczyzna wyglądał? – spytała Igniewska, gdy Iza skończyła.

– Jak sam diabeł! – zawołała Trawiańska. – Błady taki, ciemne włosy, oczy i taka kozia bródka, jak u czorta. Do tego patyczak straszny. A jak mu z oczu patrzyło! Widziałam go jak biegł do bramy, już cały taki poobijany, podrapany i w ogóle, ale oczy to mu tak błyszczały, że strach! I jak szybko biegł... Panna to ledwo wstała, a ten już, szlus i nie ma!

– Skoro już pani tyle widziała, to nie mogła pomóc pani Czartoryskiej?

– Stara jestem. – Trawiańska wzruszyła ramionami. – Silna nigdy nie byłam, a teraz to już w ogóle ledwo co czaruję. No i jakby taki wpadł na mnie, to nic, tylko bym poleciała. A w moim wieku o złamanie nietrudno, a dochodzi się do siebie ciężko, bardzo ciężko. Już i tak tyle na leki wydaję... A panna to młoda, zdrowa i tak ładnie sobie sama radziła, to co się miałam wtrącać?

– Tak, tak... – Igniewska wymownie zmierzyła wzrokiem obrażenia Izy. Ta dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie poprawiła włosów, a po upadku z pnącza pewnie miała w nich mnóstwo gałęzi i liści. Odruchowo przesunęła po głowie palcami i aż zacisnęła zęby na myśl o tym, jak musi wyglądać: pewnie jakby całą noc tańczyła z elfami na leśnej polanie i tam też poszła spać. – A pan jak opisałby sprawcę?

– Tak jak żona mówi. Ale sam niewiele widziałem, później zszedłem. Ania leciała na dół, jakby było po co, ja myślę, że





jak komuś zlecam pracę, to zlecam, nie ma co się pchać między kociołek a napar.

– Pani Czarторыńska? Może pani ma więcej konkretów i mniej poezji? – W głosie Igniewskiej pobrzmiwała nadzieja.

– Mężczyzna, wyższy ode mnie, około metra dziewięćdziesiąt wzrostu. Bardzo chudy, początkowo wydawał mi się słabowity, ale to było złudzenie. Błady, ciemne włosy i zarost, faktycznie kozia bródka. Oczy chyba ciemne, ale nie widziałam dobrze. Silny magicznie i fizycznie. Pomyślałam nawet, że może być wampirem, ale po zastanowieniu nie sądzę, by tak było. Ostatecznie nie poruszał się dość szybko jak na wampira, choć z pewnością szybciej niż człowiek, nie był też tak silny. Jednak nie sięgnął po magię, by mnie zaatakować. Nie wiem, co go powstrzymywało, bo nie sądzę żebym miała szansę, jeśli doszłoby do walki bezpośredniej. Ta moc była ogromna i naprawdę upiorna.

– Nie ocenia jej pani tak, bo ponosi panią wyobrażenia w zaistniałych okolicznościach?

– Możliwe, że trochę wyolbrzymiam, ale nie bardzo. Nigdy w życiu nie spotkałam się z taką mocą. Zresztą, sama pani czuje echo.

Dobrze wiedziała, że ostatnie zdanie było z jej strony złośliwe – podobno nawet wyczuwanie magii sprawiało Igniewskiej kłopot.

– Zadzwońię po kilka osób, które sprawdzą ślady magiczne. Przyjdą też funkcjonariusze, aby spisać zeznania, bo widzę, że przedstawienie ogląda wiele osób. – Machnęła ręką w stronę





okien kamienicy. Na ten gest kilka osób się schowało, a w paru oknach zgasły światła. Większość jednak nic sobie nie robiła z uwagi policjantki i dalej obserwowała wydarzenia z góry. – Mają państwo podejrzenia, kto to może być i co tu robi?

– Niestety nie – odpowiedziała Trawiańska.

– Nie, ale z jakiegoś powodu to miejsce musi być ważne – mówiła powoli, z namysłem, Iza. – No i składał ofiarę ze swojej krwi, widać jeszcze ślady. Podobno robił tak za każdym razem.

– Co to według pani znaczy?

– Pojęcia nie mam. Może trzeba poszukać w archiwum, może na starych mapach magicznych Szczecina. Są takie w Książnicy, nawet zapiski sprzed czasów, kiedy powstało tu miasto.

Sama zamierzała iść innym tropem, bardziej namacalnym – guzika. Wiedziała, kogo może pytać o dziwny artefakt, a kogo o gościa z mroczną mocą. Niemniej trop związany z miejscem był ważny i ciekawy, ktoś powinien go sprawdzić. Jednak nie ona, w papierach może sobie grzebać policjantka bez mocy.

– Dobrze, na razie mogą państwo iść spać, rano porozmawiamy dłużej. Z panią, pani Czartoryska, także się skontaktuję. Oczywiście wie pani, że nie może prowadzić sprawy dalej? Teraz jest już w rękach policji.

– Oczywiście. – W głosie Izy pobrzmiwał taki brak przekonania, jaki słychać było w słowach Igniewskiej. – Dobranoc.

Czartoryska rażno ruszyła do bramy, a później truchcikiem przebiegła ulicę do samochodu. Stał, jak go zostawiła, i nie wzbudził niczyjzego zainteresowania, choć zamek od dawna





nie zamykał się automatycznie. Skrzywiła się, gdy poczuła, jak zdarte kolana nieprzyjemnie ciągną podczas siadania, a fotel kierowcy zmarzł. Sięgnęła po termos z kawą, ale zaraz go odrzuciła na podłogę po stronie pasażera. Końcówka tej nocy i tak była nieciekawa – nawet bez wstrętnej kawy.



